

zwilżył białe czoło... a chichot, przed chwilą głośny, zamienił się w ciche łkanie, które jednak siał woli słumiła.

— Moja Marcelo, nie miałabyś najmniejszej słuszności, gdybyś chciała być zazdrosną — rzekł Kazimierz — byłabyś bowiem zazdrosną o nic, o urojenie. Serce moje oddawna umarło. Nic nie kocham... Miłość dla ciebie, jedyna, jaką w życiu zaznałem, zużyła mnie do szczytu. Nie znam już żądź, ani pragnień namiętnych. Sumienie, nieustannie przypominające przeszłość, zabija we mnie wszelkie erotyczne uczucie! Czyż sama nie wiesz o tem najlepiej, spędzając noce w ciągłej bezsenności, płacząc, gdy mrok zapada... płacząc, gdy słońce wschodzi... bo pozbyć się nie możesz myśli przynębiającej o popełnionej zbrodni i o człowieku nieszczęśliwym, pokutującym za nią niewinnie.

— Och! — zawołała, zatykając sobie uszy obu rękami — milcz, na Boga!.. proszę cię, milcz!

— Gdziekolwiek zatrzymaliśmy się czas jakiś, tęskniłaś za krajem. Nie podobał ci się pobyt w Nowym-Yorku, Boston i Filadelfia nie zdołały cię zatrzymać w swoich murach, Paryż nużył cię swoją ruchliwością i ogromem, nie uległaś czarowi przyrody w Neapolu, ani urokowi wiekowych wspomnień w Rzymie. Zaledwieśmy przybyli do jakiegokolwiek obcego miasta, wnet chciałaś je opuścić.

— To prawda!

— Choroba wieku, neurastenia, pochwyciła duszę twoją w swoje ostre szpony...

— To prawda!.. to prawda!

— A nadto ciągle lękałaś się spotkania z Selimem. Obecnie nawet, drżysz z przestachu na samą myśl, że zjawić się może, odkryć nasze schronienie... i znowu przyłożyć nam nóż do gardła, grożąc zdradzeniem naszej tajemnicy.

— Jeśli mi się kiedykolwiek ukaże, nie wyjdzie stąd żywym. Nie ty, lecz ja go trupem położę!

— Wówczas cię uwiężą, a powtórnej pomyłki sądowej spodziewać się nie możesz. Nie zdołasz się obronić...

— Tak sądzisz?!.. Otóż się mylisz. Wyznam przed sądem wszystko, powiem, dlaczego targnęłam się na życie hrabiego Jelskiego... że nie chodziło mi o wyswobodzenie się z pod jarzma małżeńskiego, ani o majątek, lecz o dziecko... o dziecko moje jedyne! Krzyk miłości macierzyńskiej wzruszy serca sędziów, zrozumieją, że działałam pod wpływem siły wyższej... i uniewinnią mnie...

— Może... — szepnął Kazimierz, uśmiechając się sceptycznie.

— Może, powiadasz?... A jednak.. jednak, gdyby wszystko wrócić mogło do dawnego stanu rzeczy, gdyby zamordowany żył jeszcze, zdaje mi się, że uczyniłabym to samo, bo niema nic, czegobym nie poświęciła dla odszukania mego dziecka, mego syna... który liczyć musi obecnie lat dwadzieścia...

— Nigdy go nie znajdziesz!

— Szukać będę wszędzie!.. Poruszę niebo i ziemię, a znaleźć muszę. Niepodobna, abym się nie spotkała z tą znikającą ciągle Ciupagą i żeby mi ona nie wyznała całej prawdy. Obsypię ją złotem, dam co zechce, lecz musi mi powiedzieć, co zrobiła z moim dzieckiem.

Podniecona Marcelina mówiła jeszcze, chociaż Kazimierza nie było już w pokoju. Ulotnił się po cichu z buduaru żony. Gdy to spostrzegła, szepnęła, wdychając ciężko:

— Och! on mnie już nie kocha. Wszystko, co mnie obchodzi, jego nudzi i drażni. Niema nade mną litości! A ja... ja go kocham, może mocniej, jak dawniej!.. Wyrzuca mi zazdrość. Tak, tak, jestem zazdrosną, lecz się przed nim z tem nie zdradzam.

Zbliżyła się do zwierciadła.

Chociaż bardzo umiejętnie i starannie pielęgnowała wspaniałą niegdyś piękność swoją, znać było równie w jej twarzy, jak w postawie, znużenie i ślady zbliżającej się starości. Na gładkiem dotąd czole rysowały się tu i ówdzie nieznacznie drobne zmarszczki; przy oczach, koło skroni, rozstrzępiał się już, wprawdzie niezbyt głębokie, lecz widoczne bruzdy; w bujnych włosach bielity się gdzieś tam srebrne nici siwizny.

Uczuła duszność w piersi. Wybiegła z willi, aby w ogrodzie odetchnąć świeżem powietrzem. Usiadła w altanie, obsadzonej wokoło wysokopięnnymi różami sztampowemi.

Zupełna cisza panuje w przyrodzie. Miliony gwiazd pokrywają ciemno-szafirowe niebo. Najlżejszy wietrzyk nie porusza gałązkami i liśćmi drzew, drzemających w ciepłej nocy czerwcowej. I Marcelina, wyciągnięta na podłużnym, bambuso-

wym szezlongu, drzemie także, znużona wzruszeniami wieczoru. Nagle, budzi ją bicie zegara, stojącego na kominku w buduarze. Przeciera oczy i powstaje... Wtem, słyszy odgłos kroków i widzi jakiegoś mężczyznę, zbliżającego się do otwartego okna.

— Kto to być może?

— Czy nie Selim? — pyta się siebie w głębi duszy. — Jeśli on... zabiję go! Mam prawo zabić... jako złodzieja!..

Wsuwa się po cichu w gęste krzaki bzu i jaśminu, dochodząc prawie do samego pałacyku... i ostrożnie, na palcach, skrada się... skrada... Staje o parę kroków od człowieka, zagląającego do buduaru... i przypatruje mu się uważnie... Nie Selim!.. Niepostrzeżona kryje się znowu w gęstwinie.

To Piperstein, korzystając z nocy i ciszy, podszedł blisko, żeby się zapoznać mniej więcej z rozkładem pokoi na parterze. Teraz mija Marcelinę, której nie widzi... cofa się w tył... i znika za parkanem sąsiedniej, niezabudowanej parceli.

Marcelina, drżąc ze strachu, wraca do pokoju. Sama zamyka okno i okiennice, poczem biegnie



...Wtem, słyszy odgłos kroków i widzi jakiegoś mężczyznę, zbliżającego się do otwartego okna.

na pierwsze piętro do sypialni, gdzie znajduje Kazimierza, czytającego dzienniki wieczorne.

— Jeszcze nie śpisz?

— Czekałem na ciebie. Czemu tak późno przychodzisz?

— Byłam w ogrodzie... gdzie widziałam...

— Lokaja Józefa, umizgającego się do twojej panny służącej...

— Doprawdy, nie można mówić z tobą! — syknęła, wzruszając ramionami.

— Chciej z łaski swojej jaśniej się tłumaczyć.

— Widziałam mężczyznę...

— Stworzyła go twoja wyobraźnia. Wszystkiego teraz się lękasz. Mówię na seryo, że chwilami zdaje mi się, iż blizką jesteś obłądu... Prawdopodobnie zasnął... i coś ci się przyśniło...

— Powtarzam: widziałam. Ukryta w krzakach widziałam, jak zaglądał przez otwarte okno do buduaru...

— A potem?

— Przyjrawszy się wszystkiemu uważnie, uciekł za parkan sąsiedniej posesyi. Nie trudno mu było go przeskoczyć, wiesz bowiem, jak jest w pewnych miejscach niski i rozwalony.

— To musiał być Selim — rzekł Kazimierz, uśmiechając się szyderczo.

— To nie był Selim!

— W takim razie jakiś Tatar, albo Kirgiz, który może porwać cię zamierzał.

— Chciałam obudzić służbę, lecz po namyśle dałam pokój, bo kto wie, czy to nie wysłannik Selima.

— Dobrześ uczyniła. W naszym położeniu strzedz się musimy wszystkich.

— Wiem o tem.

— To też niekoniecznie mądrze postąpiliśmy, wracając do Warszawy.

— A! niech się nasze przeznaczenie już raz spełni — rzekła Marcelina poważnie. — Wróciliśmy, bo ty chciałeś być bliżej ojca i siostry, ja zaś pragnęłam i pragnę dziecko moje odszukać.

— Zapominasz, że i ja zawsze i wszędzie o tem myślałam, wzywając listownie różne osoby znajome, by zajęły się poszukiwaniami. Zajmowały się, jak wiesz z ich odpowiedzi, lecz na próżno. Twój syn budzi nadto w głowie mojej wspomnienie o Marcinie Żarskim i o jego dzieciach, które także znikły bez śladu...

a wspomnienie to jest rodzajem tortury, zadającej memu sercu srogą męczarnię..

— Rzecz dawna i obojętna! Dlaczego przypominasz mi tego człowieka i jego rodzinę, której nie znam i znać nie chcę!..

— Och, Marcelo!.. Marcelo!.. egoizm twój nie ma granic!

Mówiąc to Kazimierz, zły i rozdenerwowany, przeszedł do sąsiedniego pokoju, aby otworzyć w nim drzwi, wychodzące na balkon. Z nich patrzył czas jakiś z roztargnieniem na niebo, usiane gwiazdami i na pustą drogę, wysadzoną wyniosłymi drzewami, ciągnącą się poprzecznie od rogatek Mokotowskich do bram Belwederu.

Naprzeciw, na chodniku alei, za grubym pniem starej lipy, stał Piperstein nieruchomy i oczu z Kazimierza nie spuszczał. Dopiero, gdy oszklone drzwi balkonowe zamknęły się szczelnie — i agent z miejsca się poruszył, podążając powoli na ulicę Marszałkowską.

Przed dworcem kolei warszawsko - wiedeńskiej wsiadł do doróżki i kazał się zawieść na Hożą.

Już świtało, gdy zadzwonił do jednej z kamienic, którą znać musiał doskonale, bo, nie pytając stróża o informację, boczniemi, niewygodnymi schodami, niewygodnymi schodami wdrapał się na czwarte piętro, przemknął cicho przez wazki i długi korytarz, a stanawszy pod drzwiami, oznaczonymi numerem czwartym — zapukał. Po chwili ktoś z wewnątrz gburowato zapytał:

— Kto tam, u licha?

— To ja.

— Co za ja?

— Piperstein.

— O tej porze? — odparł Maślak.

Słysząc było, jak wstawał z łóżka i lampkę zapalał. Potem zbliżył się do drzwi i otworzył.

— Człowiek, mój stary, przychodzi nie kiedy chce, lecz kiedy może. Wiem, że zrana masz iść na służbę, więc przyszedłem cię obudzić. Później, nie zastałbym niezawodnie!

Maślak postawił lampkę na małym stolczku przy łóżku, i rzekł po cichu, ale ironicznym tonem:

— Nie pytam, skąd przywędrowałeś, bo się domyślam, że zamiast położyć się spać, co ci się należało, latałeś całą noc, jak waryat jaki, za Kazimierzem Molskim.

(Ciąg dalszy nastąpi).